

O człowieku, który nie umarł

Niewidomy i poważnie chory na zapalenie opłucnej leżał prawie nieruchomo na pryczy, uznany za przypadek beznadziejny. W mrok jego choroby wdarło się jednak światło, zaś perspektywa bliskiej śmierci ustąpiła życiu – tak wyglądał przełomowy moment obozowej egzystencji francuskiego pisarza Jacques’a Lusseyrana, który potem „dla wielu stał się człowiekiem, który nie umarł”.

Jacques Lusseyran urodził się w 1924 roku. W wieku siedmiu lat stracił wzrok na skutek wypadku w szkole. Szybko przyzwyczał się do ślepoty i utrzymywał bliskie stosunki przyjaźni z kolegami. Będąc jeszcze chłopcem, bardzo niepokoił się rosnącym znaczeniem Hitlera w Niemczech. Nauczył się po niemiecku, by móc słuchać audycji radiowych z Niemiec. Kiedy Niemcy zajęły Francję, siedemnastoletni Jacques zorganizował grupę oporu. W lipcu 1943 brał udział w akcji rozrzucania w pociągach ulotek wzywających do popierania ruchu oporu.

Wkrótce później, na skutek donosu jednego z członków grupy, został aresztowany przez Gestapo i wysłany do obozu w Buchenwaldzie. Ponieważ był niewidomy, nie musiał brać udziału w przymusowych robotach wraz z innymi więźniami. Nie uchroniło go to jednak przed ciężką chorobą. Niewidomy i poważnie chory na zapalenie opłucnej leżał prawie nieruchomo na pryczy, uznany za przypadek beznadziejny. Beznadziejny, choćby dlatego, że w obozie nie było nawet aspiryny.

Chory jednak nadziei nigdy nie utracił. W mrok jego choroby wdarło się światło, zaś perspektywa bliskiej śmierci ustąpiła życiu. Wiele lat później Jacques Lusseyran opisał swoje przeżycia w książce zatytułowanej *Et la lumière fut*, czyli *Niech stanie się światłość*.

„Wiedziałem bardzo dobrze, co to było: moje ciało szykowało się do opuszczenia tego świata. Zarazem wcale nie chciało odchodzić już teraz i nie chciało odchodzić w ogóle. Czułem to w dotkliwych bólach; moje ciało wiło się jak wąż pocięty na kawałki.

Czy myślałem, że nadeszła już śmierć? Jeśli tak, to byłem w błędzie. Choroba, ból, tak, ale nie śmierć. Przeciwnie — życie. To właśnie było niewiarygodne — życie wzięło mnie w posiadanie. Nigdy przedtem nie żyłem tak intensywnie.

Życie stało się moją najbardziej wewnętrzną substancją. Wdarło się do mego zamknięcia z siłą tysiąc razy większą ode mnie. To nie było życie powstałe z krwi i kości — och, na pewno nie — ani utkane z idei. Życie przyszło do mnie niczym migotliwa fala, niczym pieśczęta światła. Widziałem je poza moimi oczami, poza czołem, poza własną głową. Dotknęło mnie i wypełniło po brzegi. Dałem się mu ponieść.

Z głębi mego zdumienia wydobywały się bezładnie jakieś słowa. Nie, to nie moje usta je wymawiały, one dźwięczały same: opatrność, anioł stróż, Jezus Chrystus, Bóg. Nie próbowałem nawet nad nimi się zastanawiać. To nie był czas na metafizykę.

Czerpałem siłę z samego źródła. Piłem i piłem, nie mogłem przestać. Nie miałem najmniejszego zamiaru porzucić tego niebiańskiego strumienia. Znałem go już; pojawił się przy mnie tuż po moim wypadku, kiedy straciłem wzrok. Teraz to było to samo, ciągle to samo: Życie, które podtrzymywało moje życie.

Pan ulitował się nad biednym śmiertelnikiem, który leżał przed nim bezradnie. To prawda, absolutnie nie byłem w stanie w niczym sobie pomóc. W obozie wszyscy byli w tej sytuacji. Wiedziałem o tym, wiedziałem też, że dotyczyło to w pierwszym rzędzie esesmanów. Dlatego mogłem się uśmiechnąć.

Lecz została jedna jedyna rzecz, na którą było mnie stać: nie odmawiać pomocy Boga, tchnienia, które na mnie spływało. To była ta jedyna bitwa, którą musiałem stoczyć, ciężka i zarazem wspaniała: nie pozwolić, by lęk opanował moje ciało. Ponieważ lęk zabija, a radość daje życie.

Powoli powracałem z martwych. I kiedy pewnego ranka jeden z moich sąsiadów (później dowiedziałem się, że był ateistą przekonanym, że postępuje właściwie) ryknął mi do ucha, że nie mam najmniejszej szansy na przeżycie, więc lepiej będzie, jeśli się przygotuję, odpowiedziałem mu, wybuchając śmiechem prosto w jego twarz. Nie zrozumiał tego śmiechu, ale go nigdy nie zapomniał.”

Lusseyran, opisuje dalej, jak to „życie w śmierci” płynęło od niego do innych więźniów i jak mógł pomagać im w ich udręce. „Byłem w stanie skierować ku nim światło i radość, które w takiej obfitości znalazły się w moim wnętrzu... prawie wszyscy zapomnieli, że byłem studentem ... Dla wielu stałem się po prostu, człowiekiem, który nie umarł”.

Oprac. Krzysztof Dorosz